

# Kurczę, po co ja się urodziłam kobietą!

Zadebiutowała w roku 1975 rolą łagodnej Anieli w „Słubach panińskich” Fredry. Postać ta niezupełnie się jej udawała i pierwsze naiwne nie stały się nigdy specjalnością Krystyny Jandy. O wiele lepiej poczuła się w swojej następnej roli, kreując... mężczyznę w teatralnej adaptacji „Portretu Doriany Gray'a”. Wtedy dopiero zauważyli ją widzowie i krytycy. Po wielu latach, gdy już naprawdę została gwiazdą, w jednym z wywiadów wyrwało się jej spontanicznie: „Kurczę, po co ja się urodziłam kobietą! Tak mało jest żeńskich ról bogatych psychologicznie”.

Jej „inność” wśród młodych aktorek docenił Andrzej Wajda powierzając rolę przebojowej Agnieszki w „Człowieku z marmuru” (1976). Debiut filmowy Jandy odbił się szerokim echem. Nigdy przedtem nie oglądano na ekranie takiej dziewczyny. Nie starała się czarować tak zwanym wdziękiem kobiecości. Szybka w ruchach i dobitna w słowach nie pozwalała oderwać od siebie oczu.

„Wajda potrzebował brzydkiej aktorki, dlatego właśnie ja dostałam tę rolę” podsumowała lakonicznie swój udział w filmie. Kreacja Krystyny Jandy była szokiem dla kinowej publiczności. Nawet wiekowy już pisarz Jerzy Andrzejewski odnotował w dzienniku swe wrażenia: „Bardzo mi się nie podobała Janda. Drażniła i irytowała”. Jednak już po kilku dniach doszedł do wniosku, że jest „jedyna i niepowtarzalna”.

Niebawem przyszło wiele ról filmowych, w tym kilka znów u Wajdy – milcząca jak głaz studentka w „Bez znieczulenia” i niezłomnie walcząca o swe ideały Marta z „Dyrygenta”.

Wielki reżyser wyraźnie faworyzował tę aktorkę i kiedyś nawet powiedział, że Janda to... najzdolniejszy chłopiec w polskim kinie, z jakim pracował od czasów Zbyszka Cybulskiego. Aktorka zaś, zastanawiając się nad wypowiedzią mistrza, doszła do wniosku, że wcale nie jest „takim chłopakiem”, ale po prostu „kobiety w polskim kinie zawsze tylko wzdychają i płaczą”. Wcale nie chciała być męska, lecz prawdą jest, iż długo marzyła o zagranii Hamleta.

Sukcesy odnosiła także w rolach teatralnych. Była niezapomnianą Jenny w „Operze za trzy grosze” i w Warszawie drugiej połowy lat osiemdziesiątych chodziło się już do teatru „na Jandę”.

Aktorka, która następuje swą niewykorzystaną energią. Często zarzucano jej, że gra zbyt oszczędnie i kłóli się z nią, ale nie rozumiała, że w ten sposób nie wyrażała swojej energii. W filmie „Człowiek z marmuru” wcieliła się w rolę kobiety, która nie chce być kobietą.

Od chwili debiutu otrzymywała zaskakująco wiele listów od widzów, nie zawsze entuzjastycznych. Czasem musiała w nich czytać zdania w rodzaju: „pani chrypliwy głos przypomina mi o młodości” lub „dlaczego pani jest taka blada?”. Nie można się podobać wszystkim – tak krótko kwitowała te opinie.

Nazywano ją aktorką sukcesu. Sama mówiła, że na szczęście nigdy nie nazywano jej aktorką obiecującą. Bo też niczego nie obiecywała, lecz ofiarowywała z siebie wszystko. Zawsze z nie słabnącą pasją i temperamentem.

„Aktorstwo to jak zawód wirtuoza, nie można być zmęczonym. Trzeba ćwiczyć dziewięć godzin dziennie, a potem ma się koncert” – wykladała swoje credo.

Ważnym osiągnięciem jej aktorstwa stała się rola Toni w „Przestuchaniu” Ryszarda Bugajskiego (1982). Wszystko, czego się nauczyła do tej pory, zaowocowało absolutnie niezwykłą kreacją. Bohaterka uwikłana w proces polityczny z początku lat pięćdziesiątych przeistaczała się z płytkiej kobietki w niezwykłą wręcz nieugiętą osobowość, której nie potrafiło złamać nawet najbardziej sadystyczne śledztwo. Postać ta

rodziła się w ustawicznych sporach z reżyserem i w atmosferze gorączkowych emocji. To też nic dziwnego, że Janda grała Tonię jak w transie, stosując niejednokrotnie bardzo drastyczne środki wyrazu. Niestety, ten film został zaliczony do „półkowników” i musiał wiele lat czekać na swoją premierę.

Na początku lat osiemdziesiątych zainteresowały się Krystyną Jandą obce kinematografie. Grała w filmach francuskich, szwajcarskich i niemieckich. Zagraniczni reżyserzy widzieli ją jednak trochę inaczej, częściej jako kobietę o pastelowej chłodnej urodzie niż wulkan energii. Starła się pokrzepić swój temperament, a mimo to jeden z francuskich krytyków napisał iż „koniecznie należy jej coś dać na uspokojenie”. „Swoje role dzielę na aktywne i pasywne” – zwierzała się prasie, natychmiast zresztą dodając, że każdej z natury biernej bohaterce stara się przydać nieco wigoru.

Mimo wielkiej zawodowej odwagi nieobca jej jest trema, tak silna, że czasem ma ochotę „schować się pod krzesło”. Na szczęście nigdy nie był to paraliżujący rodzaj tremy. Strachy Krystyny Jandy są zawsze aktywizujące.

Przez wiele lat była żoną znanego aktora Andrzeja Seweryna. Później, gdy małżeństwo rozpadło się, poślubiła operatora Edwarda Kłosińskiego. W życiu prywatnym nie szuka mocnych wrażeń. Jej ideałem jest spokój i ład.

„Mam udane dzieci, jestem szczęśliwa w małżeństwie. Żyję w wielkiej przyjaźni ze swymi rodzicami. Wszystko to składa się na bardzo spokojne życie” – mówi. No tak, można pragnąć spokoju, jeśli cały potencjał energii pochłaniają role nieokietnanych kobiet. Właśnie ostatnio zagrała kolejną wspólną „wariatkę” w filmie „Zwolnieni z życia” Waldemara Krzystka.

Niewątpliwie jest wielką indywidualnością aktorską. A co sama myśli na ten temat?

„Indywidualność, własny styl. Tak naprawdę, to nikt nie wie co to jest. Niektórzy twierdzą, że to swego rodzaju charyzma. A ja myślę, że po prostu są ludzie, których inni pragną oglądać”.

I Krystyna Janda z pewnością należy do tych aktorek, które chcemy oglądać

Joanna Piątek



